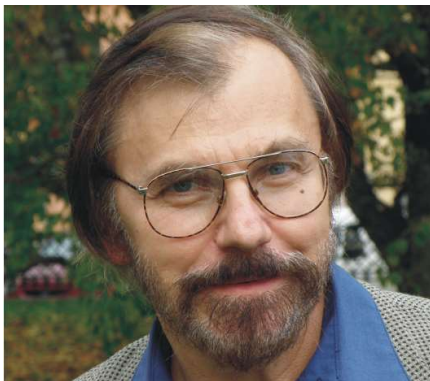


Listy do Pani A. (107)



Mordy z Mordorów

Droga Pani!

Zbliża się tak zwany sezon ogórkowy. Koniec roku szkolnego za pasem, ustana też niebawem imprezy literackie, by się odrodzić (lub nie) na jesieni. Ale miejmy nadzieję! Bo z imprezami jest podobnie jak z pogodą: raz jest ich wiele, aż robi się gorąco, a raz ich brak wieje chłodem. Ale tematów nam nie zabraknie, bo jeśli nie o imprezach literackich czy towarzyskich, będę pisał Pani o lekturach, codziennych spostrzeżeniach, czasem o sobie, choć właściwie można powiedzieć, że wszystkie listy są w pewnym sensie o mnie.

I tak ostatnio zaniepokoiłem się o moją pamięć. Opowiadając Pani o spotkaniu w „Literacie” i o „podobieństwie” języków, napisałem, że okrzyki oraz pozdrowienia były po hiszpańsku. I tu poległem. One są po holendersku. Skąd mi ten hiszpański przyszedł do głowy? Dobrze, że przez pomysłkę nie napisałem tego przez „ch”, co merytorycznie mało by zmieniło... A jeszcze mniej fonetycznie! Jeśli Pani nie pamięta poprzedniego felietonu, to proszę tam jeszcze raz zajrzeć.

A ja sobie zajrzałem do felietonów Leszka Żulińskiego, zamieszczanych w internetowym Salonie Literackim. Leszek wskrzesza tam nieistniejący już świat, nam obu tak bliski. Bliski z dwóch powodów: byliśmy wtedy młodzi. Inaczej postrzegało się świat, ludzi, ówczesne autorytety, wybitne osobowości. Powód drugi, to niejaka tęsknota za czasem, w którym kultura coś jednak znaczyła; za czasem, który wydawał się poważniejszy, mniej chaotyczny, uporządkowany i w pewnym sensie hierarchiczny. Bo jednak sztuka nie znosi demokracji. Musi więc istnieć swoista naturalna selekcja dzieł. Powinny być jakieś ramy. A jeśli ktoś chciałby te ramy kruszyć, przedstawiać, to nie powinien kierować się wyłącznie negacją, ale zaproponować konkretną propozycję.

A więc Krzysztof Teodor Toeplitz, Henryk Berezka, Andrzej K. Waśkiewicz, Piotr Kuncewicz, Zygmunt Lichniak, i wielu,

wielu innych, to były autorytety, miary, strażnicy poziomu literatury. Można było eksperymentować, skakać im do oczu, ale obowiązkowo należało startować z pewnego poziomu. Przypomnijmy polemiki Stanisława Grochowiaka z Arturem Sandauerem czy z Julianem Przybosiem, spory poetów „Współczesności” z twórcami Orientacji „Hybrydy”. Pani tych czasów nie pamięta, ale my z Leszkiem doskonale. Jakże brak mi dzisiaj wspomnianych wyżej Waśkiewicza, Kuncewicza. Pozostały puste miejsca po Krzysztofie Gąsiorowskim, Zbigniewie Jerzynie, Jerzym Górzkańskim, Januszu Żernickim, Krzysztofie Mętraku, Zbigniewie Doleckim, Tadeuszu Śliwiaku, Tadeuszu Nowaku... Wymieniać można do końca świata, i nie tylko jeden dzień, ale i miesiące dłużej. Jakoś nie widzę na ich miejsca odpowiednich kandydatów. Chociaż... Może widzę, ale nie mam stuprocentowej pewności.

Czy o nich ktoś jeszcze pamięta? Mam nadzieję, że czas ma strukturę ruchomych piasków. To, co dziś zasypuje, niebawem odkryje na nowo i przypomni, że były takie wybitne indywidualności. Trzeba więc poddać się jego weryfikacji. I tak nigdy nie będziemy wiedzieli, jaki los przypadnie nam w udziale.

Takie to refleksje przyniosły mi felietony Żulińskiego; a zarazem dojmujące poczucie przemijania. Jednakże – tu kieruję słowa w stronę Leszka – trzymajmy się, twórzmy dalej ten świat. No tak, łatwo powiedzieć. A ja znowu czytam tamtych pisarzy, oglądam stare zdjęcia, w których zamknięty jest świat bezpowrotnie. Pani jeszcze nie ma takich myśli.

My z Leszkiem, Markiem Wawrzkiwiczem czy Janem Stanisławem Kiczorem mamy nieco inną perspektywę, kiedy patrzymy na szlak, który już przeszliśmy. Przyznam się do pewnej literówki popełnionej (podświadomie) zdanie temu. Otóż zamiast „szlak” napisałem „szlaj”. Tak, czasem i to się zdarzało, bywało różnie, choć – że użyję tytułu książki Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz i Andrzeja Żora wydanej z okazji jubileuszu Marka Wawrzkiwicza – „Mogło być gorzej”...

Tego samego tytułu owej książki mógłbym użyć w odniesieniu do naszej „Gazety Kulturalnej”. Mogło, ale się nie stało. Pomimo różnorodności trudności – przecież u nas kultura to jakiś trzeci czy czwarty sort w mniemaniu decydentów – pismo wychodzi, staje się coraz lepsze i ciekawsze. Oto trzyma Pani w rękę 250. numer. Wszystko zaczęło się w 1996 roku, i nieprzerwanie trwa do dziś. To duży sukces.

Są tu stałe rubryki, które cieszą się zainteresowaniem chyba wszystkich czytelników „Gazety...” Teksty Marii Szyszkowskiej, Leszka Żulińskiego, Józefa Barana, Ignacego S. Fiuta, Kazimierza Ivosse, felieton naczelnego Andrzeja Dębrowskiego – są powszechnie znane i wyczekiwane. Najważniejsze, że czytane. Od kilku osób wiem, że i nasze liryczne „Listy” ukazujące się od 2008 roku również mają swoich fanów.

Tak więc Andrzej Dębrowski odniósł duży sukces. Po pierwsze jego pismo wypełnia lukę na mapie pism literackich, po

drugie rozświetliło Żelów jako ośrodek kultury i literatury nie tylko „regionalnej”, ale ogólnopolskiej. Zawsze są tutaj ciekawe teksty, wiadomości z życia literackiego, zapowiedzi wydawnicze i konkursów. Słowem – pismo przydatne pod względem merytorycznym a także informacyjnym. Mam nadzieję, że dzięki „Gazecie...” Pani doskonale wie, co się dzieje w artystycznym światku, i bywa przynajmniej na niektórych imprezach. A ja dzięki temu mogę ją widywać.

A ostatnio trochę za dużo chodziłem po Warszawie. Rozboliła mnie noga (może ją skręciłem, nie zauważając tego?), trochę mnie to unieruchomiło. Ale nie w tym problem. Spacer ten napęłnił mnie niejaką goryczą. Warszawa, moje miasto, staje mi się coraz bardziej obce. Szklane wieżowce porzucane bez ładu i składu, nie ma budynku Uniwersalu przy Alejach Jerozolimskich, rotunda PKO (ta sama, w której w 1980 roku nastąpił wybuch gazu) przestała istnieć. Nie zmiotła jej tamta tragiczna katastrofa, ale „dobra zmiana” dała radę. Zniszczono CEDET, budynek, jak to się teraz mówi „kultowy”. Podobno dom Wedla u zbiegu Puławskiej i Madalińskiego też utracił swój zabytkowy charakter. Wszystko niszczy hunwejbini, prymitywna wiocha, która teraz rządzi w Stolicy. Nie mam nic przeciwko imigracji ludzi uczciwych, ale teraz widuje się na ulicach przeważnie krzykliwe indywidualia z korporacyjnych „Mordorków”, w przyciasnych marynareczkach, spodniach-rurkach, krawacikach, fryzurach *à la* kogut postawionych na żel. A z czółenkowatych półbucików wystają wiechcie słomy. Łazi to po ulicach, wrzeszczy jak na pastwisku, nie widzi obok nikogo prócz siebie. To jest „nowa Warszawa” narzucająca swój chamski sposób bycia. I wszystko niszczy na potęgę. Mają jakimś cudem dyplomiki doktorków, inżynierów, konstruktorków i tym podobne, ale nic z tego nie wynika. We łbach hula wiatr. Odnoszę wrażenie, że świat stoi nad jakąś przepaścią. Wiadomo, każdy gatunek z czasem się degeneruje.

Gorycz tę osłodził mi jubileusz 70-lecia Jana Stanisława Kiczora. To świetny poeta, kompan do towarzystwa. Spotkaliśmy się w dużym gronie, by uczcić Jubilata, w pewnym lokalu na Targówku. O jego nowym tomiku wierszy „Na kołcach jeża” mówił wydawca, znany poeta, Rafał Czachorowski, kilka słów powiedziałem ja. Jarosław Jarbrzemiński czytał jego wiersze. Miałem wrażenie, że Pani tam była, zaproszona przez Jana Stanisława, który w jednym z wierszy napisał: *Z imaginacji, Pani wie, rodzi się nadmiar lub brak czegoś / czy zwykła zadróżność, choćby o korespondencję Jurkowskiego.*

Mamy więc jasność! Dobrze zatem mieć przyjaciela zazdrośnika! Potem rozmawialiśmy, pili wódkę, jedli. A wszystko w kapitalnej artystycznej atmosferze. I właśnie takiej atmosfery pełnej optymizmu, wesołości i przyjaźni z serca Pani życzyć –

Stefan Jurkowski